

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

DOBRA CÓRKA.

Opowiadanie z dziejów wynalazków.

Wiecie wszyscy, że bawełna nie rośnie w Europie, a jednak rozmaite tkaniny bawełniane, białe i kolorowe, perkalę, dymki, muśliny i inne, niezmiernie rozpowszechnione są wszędzie i tańsze daleko od nicianych. Roślina bawełna, rosnąca w krajach gorących, wydaje niezmierne mnóstwo włókien, któremi zaopatrują liczne fabryki na całym świecie. Ale nie wiecie może o tém, że nie więcej jak sto lat temu nie znano jeszcze tych wszystkich wyrobów, dziś tak pospolitych. Anglicy robili knoty do lamp z bawełny, używano jej tam także i do tkanin, ale tylko jako dodatek do przędzy lnianej, sprowadzanej z Niemiec. Przędzała, skrecona mocno, ażeby mogła być naciągnięta na warsztacie, stanowiła ośnowę, to jest podłużne nici tkaniny. Włókien bawełny nie umiano jeszcze wówczas uprząść dość mocno, używano więc ich jedynie na watek; tak nazywają nić poprzeczną, przesuwaną na warsztacie przez tkacza, tam i napowrót, za pomocą czółenka.

Działo się to, jak wspomnieliśmy wyżej, przeszło przed stu laty. Owe mieszane tkaniny z bawełny i lnu bardzo były wszędzie poszukiwane, gdyż znacznie mniej kosztowały od płócien czysto lnianych. Już i wówczas farbowano je i malowano w różne desenie, tak, że do wszelkich użytków służyć mogły. Zwłaszcza w Anglii przemysł ten bardzo się



Co tak patrzysz na mnie, ojczy? (str. 50).

rozwijali; w każdej prawie wiosce wyrabiali takie tkaniny zwyczajni tkacze na swoich prostych warsztatach. Przędę lnianą sprowadzono po większej części z zagranicy, bawełnę zaś przędły miejscowe kobiety na kołowrotkach i wrzecionach. Tkaniny surowe farbowano następnie w fabrykach.

Miasto Manchester zaczęło wkrótce prowadzić ogromny handel temi wyrobami; tam było najwięcej fabryk, najglówniejsze składy i ztamtąd pożyteczny ten towar po całym kraju rozwożono. Ale w końcu przyszło do tego, że kupcy, nie poprzestając na krajowym handlu, zaczęli tkaniny półbawełniane wywozić za granicę Anglii, to jest na ląd stały Europy. Wtenczas dopiero tkacze ujrzeli się w kłopotcie, nie mogli nastarczyć swojej roboty, a tu brakło im materiału. Przędę lnianą nadchodziły wprawdzie ogromne zapasy z Niemiec, ale prządki angielskie nie były w stanie uprząść odpowiedniej ilości bawełny. Na wszystkich targach domagano się tych ulubionych tkanin, coraz więcej robotników brało się do tego łatwego i pewnego zarobku, a tu najpracowitsi tkacze musieli ręce zakładać bezczynnie, bo nie mieli co nawinąć na czółenka; darmo na wszystkie strony wołali: „Wątku! któż nam da wątku!“ Prządki robiły co mogły, one także nie miały ochoty próżnować i pragnęły zarobku, ale darmo od rana do wieczora obracały kółka kołowrotek i nie wypuszczały z rąk wrzeciona, nienasyceni tkacze zawsze za mało mieli wątku.

Otóż gdy ten niedostatek osobliwszego rodzaju najdotkliwiej czuć się dawał, dnia jednego, r. 1764, w wiosce Leigh, w hrabstwie Lankaster, pewien człowiek ubogi, nazwiskiem Tomasz Highs ¹⁾, którego rzemiosłem było wyrabianie jednej z glówniejszych części warsztatu tkackiego, patrzył z wielkim współczuciem i politowaniem na ciężkie strapienie najbliższego sąsiada. Sąsiadem tym był właśnie taki tkacz, potrzebujący bardzo zarobku i ochotny do pracy, a jednak zmuszony do bezczynności, bo nigdzie nie mógł dostać nędznej odrobiny bawełnianej prze-

dzy. Obaj znajomi zaczęli nad tém ubolewać, że kołowrotki tak mało tej przędzy dostarczają. Nie jeden w tych czasach ubolewał podobnie, nikomu jednak nie przyszło do głowy szukać sposobów zaradzenia złemu. Na to potrzeba było niezwykłego umysłu, a taki posiadał Tomasz Highs. W czasie owej rozmowy myśl genialna zabłysła w jego głowie i nie dawała mu spokoju.

Highs powrócił do domu w gorączkowym usposobieniu, stanął przy córce, zajętej właśnie przędzeniem i wlepił w nią wzrok pełen dziwnej jakiejś zadumy. Był on wdowcem i nie miał innej pociechy i pomocy, tylko tę córkę jedyną, dobrą i roztrofną Jenny.

— Co tak patrzysz na mnie, ojcze?—zapytała młoda prządka, która go jeszcze nigdy w takim stanie nie widziała.

— Nic to, nic, moja Jenny—odpowiedział—przyszło mi coś na myśl... ale ty nie zważaj na to, drogie dziecię, nie odrywaj się od swojej roboty, nie trać czasu. Im więcej uprzedzisz, tém lepiej. Tkaczom braknie wątku, a prządki go tak mało dostarczyć mogą.

I Jenny przędzie dalej, warczy kółko kołowrotka, obraca się szybko wrzeciono w zręcznych jej rączkach, a ojciec wciąż w nią wpatrzony i pogrążony w zadumie. Oko jego czasem nagle zabłyśnie, to znów mgłą zachodzi, bo w głowie ciężka odbywa się praca, tworzy się pomysł, światło wydobywa się z ciemności. A wtém nagle zrywa się, biegnie do córki, chwytą ją w objęcia i okrywa pocałunkami, ale nim Jenny zdołała go o przyczynę tego gwałtownego uniesienia zapytać, ojciec wybiega z domu z pośpiechem, pozostawiając ją w zdumieniu.

W kilka minut później Tomasz Highs wchodził do sklepu zegarmistrza, nazwiskiem Kay, dawnego swego przyjaciela. Ten zadziwił się niepomału, widząc takie niezwykle rozgorączkowanie człowieka, którego w całej wiosce znano z usposobienia łagodnego i spokojnego. Ale po chwili zegarmistrz Kay, przysłuchując się coraz uważniej temu, co mu Highs miał do powiedzenia, zaczął się także nadzwyczajnie ożywiać, oczy mu zabłyśły takim samym prawie za-

¹⁾ Czytaj Hajs.

palem, zrozumiał bowiem, że umiając wprawiać w ruch kółka zegarów i znając dobrze mechanizm tych ruchów, mógł przyjść w pomoc przyjacielowi, który miał już pomysł gotowy i wykonać z nim wspólnie przyrząd, o jakim jeszcze nie śniło się nikomu. Przyrząd ten miał wyrabiać w rękach jednej robotnicy ogromną ilość przedzy, zastąpić odrazu mnóstwo kołowrotek.

Dnia następnego dwaj wspólnicy zamknęli się na strychu w mieszkaniu Tomasza i rozpoczęli robotę swoją w największej tajemnicy. Odtąd schodzili się tak codziennie na kilka godzin, a zegarmistrz Kay, pod kierunkiem przyjaciela wyrabiał i składał rozmaite kółka i sprężyny, z których miał powstać ów przyrząd pożądaný, mający zapewnić wszystkim zrozpaczoným tkaczom dostatek wątku.

Nie łatwo to jednak ukryć się przed wzrokiem ciekawych; mieszkańcy wioski spostrzegli wkrótce te tajemnicze schadzki dwóch przyjaciół, poczęto ich śledzić, rozpytywać, nikt wprawdzie odgadnąć nie umiał, co tam w swojej kryjówce porabiali, oni zaś uporczywie milczeli. Minęło kilka tygodni, a przez ten czas Highs i jego towarzysz przechodzili kolejno od najżywszych nadziei do najsmutniejszego rozczarowania. Taki to zwykle bywa los wynalazców.

Raz jednak, gdy już prawie pewni byli powodzenia i sądzili, że szybkim krokiem zbliżają się do celu, przestali się ukrywać i głośno opowiadać zaczęli o wynalazku, który miał spowodować przewrót w przemyśle krajowym. Dopieroż to hałas powstał w całej wiosce! nigdzie o niczem nie mówiono, tylko o cudownym przyrządzie.

A tu tymczasem nowe trudności stanęły na przeszkodzie ostatecznemu jego wykończeniu. Trzeba więc było niecierpliwych uwiadomić, że jeszcze nie nadeszła chwila pożądana. Niestety! mijały znowu tygodnie, potem miesiące, a przyrządu jak nie widać było, tak nie widać. Już nawet sami wynalazcy zaczęli doznawać bolesnego zwątpienia i ukryć się z tem przed drugimi nie umieli. Jakiś dowcipniś dał hasło do żartów i śmiechów, i wnet też sama ludność wioskowa, która niedawno głosiła sławę nowego

wynalazku, jednogłośnie wyszydząć zaczęła bez litości biednych marzycieli, szukających rzeczy niemożliwych.

— Ach, szaleńcy, zarozumiałcy! — powtarzano wszędzie — zachciało się im prząść po dziesięć i po dwadzieścia nitek na raz. Czy słyszał kto co podobnego? żeby można było taki przyrząd zrobić, jużby go byli ludzie od dawna wymyśliли. Świat taki stary, a jeszcze nikomu nie podobnego nie przyszło nigdy do głowy.

Niektórzy, spotkawszy na ulicy zegarmistrza, pytali go ze śmiechem:

— Cóż tam, panie Kayu, czy ten poczeiwy Tomasz płaci ci przynajmniej za to, że tam u niego rekolecye wysiadujesz? A możesz ty co zbroić, i on cię za to w ciupie trzyma.

Inni znów Tomasza zaczepiali:

— Hej, panie Tomaszu, czy biedny nasz zegarmistrz na dożywotnie więzienie skazany? czy wiecznie siedzieć będzie na strychu?

Byli nawet tacy niegodziwi, którzy nie wahali się prześladować córkę Tomasza, dobrą i kochającą Jenny.

-- Biedna ty jesteś dziewczyna — mówili z udanem politowaniem — ojczulek twój ma widocznie głowę przewróconą. Strzeż się, bo on gotów wyrzucić na te szalone swoje wynalazki wszystko co macie w domu, nawet twój grosz ciężko zapracowany. Jako dobra i rozsądna córka, powinnabyś mu to wyperswadować.)

— Nie, nie, mój ojciec nie jest szalony — odpowiadała zawsze Jenny, głosem pewnym i z głową dumnie podniesioną, bo ona sercem kochającym ufała i wierzyła ojcu. — Nie, nie, przyjdzie czas, że się o tém wszyscy przekonacie.

Wtedy i ją zaczęto wyśmiewać tak samo, jak ojca, ale odważne dziewczę nie zważało na to wcale, i wszelkich starań dokładało, aby i ojca natchnąć odwagą i wytrwałością.

— Nie odstręczaj się, ojczu — powtarzała mu ciągle Jenny — nie słuchaj nikogo. Ja czuję, ja jestem pewna, że twoje przedsięwzięcie się powiedzie. O mnie się nie troszcz, ja chętnie dzień i noc pracować będę, wszystkiego sobie odmówić potrafię, zarobię na

swoje i twoje potrzeby, byleś ty był spokojny i nie przestawał ufać swoim siłom.

Tak dobra córka umiała pocieszyć biednego wynalazcę i w najcięższych chwilach dodawać mu ducha. Highs znowu gorliwie zabrał się do pracy wraz z towarzyszem swoim zegarmistrzem, ale ten ostatni znacznie ostygł teraz, zraziły go szyderstwa, niechętnie już tylko przykładał ręki do tego dzieła, byłby nawet zupełnie odstąpił od wszystkiego, gdyby nie to, że lękał się tym sposobem na większe jeszcze wyśmiewanie się narazić.

Tymczasem tkaczom brakło ciągle bawełnianej przędzy, a ci biedacy zniecierpliwieni, chcąc na kimkolwiek złość spędzić, schodzili się często pod oknami Tomasza Highs'a i wołali z szyderstwem i urąganiem:

— Dajże nam wątku, panie Tomaszu, wszak przyrzekłeś dostarczyć nam wątku! Oto zabrakło nam roboty, dotrzymajże słowa; wątku nam daj, wątku!

Wszystko to strasznie gnębiło biednego wynalazcę i gdyby nie dobra córka, która zawsze umiała go pocieszyć i dodać mu odwagi, byłby niezawodnie rzucił wszystko i uciekł na drugi koniec świata od swoich prześladowców. Pracując ustawicznie nad swoim nowym przyrządem, którego nie mógł do szczęśliwego końca doprowadzić, Highs zaniedbał zwykłą swoją prostą robotę i nie nie zarabiał. Ale pocziwa Jenny nigdy najmniejszym słówkiem nie poskarżyła się na niedostatek; przeciwnie, bez wiedzy ojca pracowała sama daleko więcej niż dawniej, często późno w noc nie odrywała się od kołowrotka, ażeby im nie zabrakło przynajmniej powszedniego chleba. Ubogie sukienki swoje naprawiała jak mogła, obywała się bez wszystkiego, byle tylko ojciec nie spostrzegł niedostatku, panującego w domu. Zawsze starała się być wesołą, uśmiechniętą, jak tylko widziała ojca smutniejszym, zamyślonym, zaraz sadowiła się przy nim z nieodstępnym swym kołowrotkiem i póty go nie odstępowała, aż póki jęć się nie udało rozchmurzyć jego czoła i natchnąć lepszą myślą.

Ale nadeszły cięższe jeszcze chwile; pod oknami wynalazcy zbierały się tłumy coraz burzliwsze, coraz gwałtowniejsze miotano

urągania i skargi, aż w końcu, nie poprzestając na szyderstwach i wyrzekaniach, rozłoszczona gawiedź wpadła hurmem do pracowni biednego Highs'a, rzucono się zapalczywie na nieszczęsny przyrząd, zawsze niewykończony, połamano go w drobne kawałki i smutne szczątki wyrzucono przez okno na ulicę. Dokonawszy tego niegodziwego czynu, tłumy rozeszły się do domów i przed mieszkaniem Tomasza głucha zapanowała cisza. Wówczas drzwi otwarły się ostrożnie i na progu ukazał się zegarmistrz Kay. Obejrzał się najpierw na wszystkie strony, czy go kto nie widzi, a potem szybko puścił się bocznymi uliczkami, przyrzekając sobie w duszy, że nigdy już nie powróci i nie da się namówić do tej bezowocnej i nieużytecznej pracy.

(d. c. n.)

KAZIOWI W DZIEŃ IMIENIN.

przez Wincentego Pola.

Mój Kazieńku! To najlepsze
I po Bogu i po roli,
To, co w życiu nas podeprze
Ludzką radą w dobrej woli.

Wstawaj rano! sypiaj twardo!
Hartuj duszę—jadaj miernie,
Z bólem łam się z młodu hardo,
A dochowaj słowa wiernie.

Ucz się słuchać—abyś umiał
Rozkazywać, gdy tak padnie;
Ucz się pracy, byś zrozumiał,
Co tam leży w życiu na dnie.

Ucz się milczeć—byś treściwie
Umiał podnieść w niebo głosy;
Ucz się modlić—byś cierpliwie
Umiał wytrwać na złe losy.

Dobra wola—to skarb w życiu,
Co się tylko czynem żywi...
Dobre chowa się w ukryciu;
Ztąd kochani, miłościwi.

Rano rozważ, co masz czynić,
 Nim postawisz krok na progu,
 A wieczorem licz się Bogu!
 I już lepiej jest obwinić
 W sercu siebie, niżli bliźnie,
 Kiedy noga się pośliznie.
 Nic nie pocznij bez rozwagi,
 Boga wzywaj do pomocy:
 To nie braknie ci odwagi
 Ani we dni ani w nocy.

Z teki nauczycielki.

Wspomnienie o Regince C.

(zdarzenie prawdziwe).

(Dokończenie).

Po ich wyjeździe nie miałam już chwili wolnej od niepokojących myśli, a wiadomości, które odbierałam z Rutek, nie były pocieszające; choroba piersiowa, na którą umarła matka Reginki, rozwijała się i w niej z szybkością zatrwajającą. Każdy list od babuni rozraniał mi serce, chciałam być lotem ptaka być u nich, a jednak nie mogłam przerwać lekcyj; wakacje rozpoczynały się dopiero w połowie Lipca. Liczyłam z trwogą dni oddzielające mnie od upragnionego terminu i pierwszy raz w życiu obowiązki ciężkie mi zaczęły; odrabiałam je mechanicznie, bo wszystkie moje myśli były przy tym ukochanym dziecku, którego życie było zagrożone. Nareszcie w połowie Lipca, na tydzień przed ukończeniem lekcyj, odebrałam telegram w tych słowach:

„Przyjeżdżaj, Reginka bardzo chora.“ Jak wybrałam się do tej podróży, już sama nie wiem, bo nie byłam w stanie o niczym porządnie pomyśleć.

W trzy godziny po odebraniu wezwania siedziałam już w wagonie, miałam dojechać koleją do Tarnowa, a zamtąd jeszcze ośmnaście mil końmi; stanęłam drugiego dnia o godzinie dziesiątej rano na miejscu. Do przed-

pokoju wyszła naprzeciw mnie babunia. Spojrzawszy na nią, wyczytałam z wyżółkłej i strasznie zmienionej twarzy wyrok nieszczęścia, które już się spełniło.

Nie przemówiwszy słowa wprowadziła mnie do pokoju. Tutaj, na katafalku, w trumnie zasłanej kwiatami, okryta białą zasłoną, wśród świec jarzących, spoczywała Reginka, uśpiona snem wiecznym.

Uklękłam przy jej zwłokach i znalazłam w sobie tyle siły, że zaczęłam modlić się za spokój wieczny tej duszy niewinnej, którą Bóg w wiosnie życia powołał do siebie. Patrząc na jej twarzyczkę napiętnowaną martwym spokojem śmierci, na oczy przymknięte na wieki, przypomniałam sobie wszystkie szczegóły z jej życia i zatrudnień; wszystkie z rozdzierającą wiernością przesuwaly się przed oczyma mej duszy... Nazajutrz pochowaliśmy ją obok rodziców, z którymi złączyła się na zawsze.

W kilka dni po pogrzebie zajęliśmy się z babunią porządkowaniem rzeczy pozostałych po Regince. Kto tylko dopolniał tej smutnej powinności, wie, jaki to bolesny obowiązek; każdy drobiazg przemawia do serc osierociałych wspomnieniem, które trzeba wymazać z rzeczywistego życia.

Obok łóżka stała mała szafka, z szufladki wyjęłam książkę do nabożeństwa, na której zwykle modliła się Reginka; przewróciwszy kilka kartek zobaczyłam list z napisem: *Ostatnia moja prośba do najdroższej babuni*. Podałam pismo w bijącym sercem pani N., przebiegła je szybko, ale po przeczytaniu, jakby pod naciskiem ciężkiej walki, nie mogła opamiętać się; siedziała nieruchoma i tylko łzy spływające po znękaną twarz świadczyły o wzruszeniu wewnętrznym. Nareszcie po dość długim milczeniu, które dla mnie wydało się wiekiem, wyrzekła stłumionym głosem:

— O tak, drogie dziecko! stanie się jak chcesz, Bóg przemówił przez ciebie, niech ofiara, której spełnienia żądasz odemnie, obróci się na Jego chwałę świętą i zapewni spokój wieczny twój duszy.—To mówiąc, położyła przedemną list Reginki, był następującej treści:

Najdroższa Babuniu! Nie wiem dlaczego od kilku dni nachodzą mnie smutne myśli, że niezadługo rozłączę się z tobą. Nie mówię o tём z najukochańszą Babunią, bo może to tylko chorobliwe przywidzenie, którem na próżno rozraniłabym jej serce; ale ponieważ mniej dzisiaj cierpię niż zwykle, napiszę więc na wszelki przypadek to, co teraz w ciągu mojej choroby ciągle zalega mi na sercu.

Otóż, najdroższa Babuniu! w imię tej gorącej miłości, jaką mam dla ciebie i wdzięczności za to wszystko, co dla mnie wyświadczyła, proszę cię, jeżeli Bóg zabierze mnie do siebie, weź na moje miejsce biedną Zosię i wszystkie skarby miłości i dobrodziejstwa, jakimi mnie obdarzałaś, na nią przelęj. Przeczucie mówi mi, że ona stanie się godną twój łaski i wynagrodzi ci moję stratę. Z myślą tą kończę moje pisanie, składając u stóp twoich ostatnią prośbę, której spełnienia pragnę wszystkimi siłami mej duszy.

Wdzięczna i kochająca

wnuczka, Reginka.

Na drugiej kartce było kilka słów do mnie; biedne dziecko zegnało mnie z całą tkliwością kochającego serca.

Zawsze mówiłaś mi, kochana pani, nauczając mnie, że praca ze mną lekką ci była. Stała się z całych sił zadowolić cię, boś mnie prowadziła dalej tą drogą, którą za życia swego wskazywała mi najdroższa moja matka. Przez ciebie stałam się lepszą i rozumniejszą i dzisiaj w tych kilku słowach pragnęłabym wypowiedzieć ci moję wdzięczność i pożegnać z uczuciem głębokiego przywiązania, które zachowam na wieki w mojem sercu dla ciebie. Niech Bóg wieńczy twój trud nauczania pomyślnym skutkiem, zbieraj miłość za miłość, a wspomnienie wdzięcznej Reginki niech ci zawsze drogiem będzie.

Z jakim uczuciem odczytywałam te listy, każde z was, drogie dzieci, łatwo pojmie, były one najwymowniejszym świadectwem szlachetności i wyrobienia duchowego tej niewinnej duszy, która w młodocianych swych latach dosięgła już wyższej doskonałości. Od tej chwili smutek nasz przybrał inny charakter, przedśmiertna prośba Reginki nadała myślom naszym inny kierunek, a babunia

zabrała się do jej wykonania z całą gorliwością, która poruszyła mnie do głębi duszy. Napisła do przełożonej klasztoru we Lwowie, gdzie dziewczynka wychowywała się i zawiadomiła ją, że wskutek zmian zaszłych, pragnie wziąć Zosię do swego domu. Prosiła także, aby udzielono jej pozwolenie na wyjazd jaknajprędniejszy i powierzono opiece osoby, która zgłosi się z listem. Osobą tą była bona Reginki, bardzo pocziwa kobieta, ją wyprawiła pani N. do Lwowa, a że właśnie pokończono we wszystkich zakładach naukowych egzamina, Zosia miała już wakacje i mogła opuścić klasztor.

Wówczas to dowiedziałam się od babuni tych szczegółów rodzinnych, które dotąd były dla mnie tajemnicą. Ojciec Zosi skrzywdził był bardzo w interesach majątkowych swego młodszego brata, a po śmierci tegoż wypowiedział matce Reginki proces, który ich na wielkie pieniężne straty naraził i stał się powodem ciężkich zmartwień i kłopotów.

— Niedobry to był człowiek—mówiła pani N:—w niczem niepodobny do mego zięcia, w interesach nieuczciwy, wzniecał postrach w całej rodzinie; żona jego cicha, łagodna kobieta, umarła młodo. Niepodobna było utrzymać z nim rodzinnych stosunków, Bóg też nie błogosławił niepocziwym jego zabiegom, majątek powiększony krzywdą przypadł marnie w rozlicznych spekulacjach; ruina ta przyprawiła choiwego zbieracza o śmierć. Zosia pozostała sama bez opieki i żadnego majątku, żal nasz do jej ojca był tak silny, że nie mogła wymódl na sobie, by wziąć pod dach swój sierotę po człowieku, który nam tyle złego sprawił; ze względu jednak na pamięć mego szlachetnego zięcia oddałam Zosię na swój koszt do klasztoru. Teraz po ostatniej prośbie Reginki niknie z mego serca cały żal, może w żądaniu tej anielskiej duszy jest palec Boży. Różne są drogi, któremi Bóg ludzi prowadzi, wszak Chrystus wyrzekł: „Miłujcie nieprzyjaciół wasze i czyńcie dobrze tym, którzy was mają w nienawiści.“ Dlaczegoż biedne dziecko ma ponosić karę za winy ojca swego. Niech pod wpływem tej świętej przestrogi ustąpi wszystko z mej duszy, co było gniewem i wstrętem, niech chwila w której ta pokre-

wna nam sierota przestąpi próg mego domu będzie błogosławioną.

Babunia, wymawiając te słowa, przeistoczyła się zupełnie, ustąpił z jej twarzy wyraz rozpaczliwego i ponurego smutku, łagodna litość rozjaśniła żywszym blaskiem wypłakane oczy; ja w mojej duszy uczułam błogie ukojenie, zdawało mi się, że duch Reginki zstąpił w pośród nas w tej uroczystej godzinie.

W tydzień po tém zdarzeniu siedzieliśmy z panią N. w ogrodzie, oczekując na przyjazd Zosi. O samym zmierzchu usłyszałyśmy turkot, a wkrótce konie zatrzymały się przed gankiem. Babunia postąpiła parę kroków naprzód, ja podbiegłam do powozu; widziałam, że Zosia wysiadając przeżegnała się, potem zbliżywszy się do babuni osunęła jej się z pokorą do kolan. Babunia podniosła ją żywo, a uściśnawszy tklawie, wyrzekła:

— Błogosławie cię, drogie dziecko i pragnę, byś była w pośród nas szczęśliwą, uważaj dom twój babki, jako dom rodzicielski, całym sercem tego pragnę.

Przez czas mego pobytu w Rutkach, zwracałam pilną na dziewczynkę uwagę, badałam z zastanowieniem jej charakter i skłonności, chcąc przekonać się naocznie, czy szlachetna prośba Reginki i ofiara pani N. przyniosą dobre owoce.

Po kilku tygodniach, uspokoiłam się zupełnie, Zosia miała łagodne usposobienie swej matki, a przytém szczerze była pobożną; poczucie sieroctwa i opuszczenia rozbudziło w niej pokorę i chęć jednania sobie ludzkiej miłości, rozbrajała wszystkich swoją słodyczą i delikatnym wdziękiem.

Pani N. otoczyła Zosię wielką troskliwością, pamiętała na każdym kroku o swoim względem niej zobowiązaniu, dziewczynka ze swej strony uprzedzała życzenia staruszki i spełniała je z cichym przymileniem. Wyjeżdżając po wakacjach z Rutek, czułam, że gorące pragnienie Reginki, tyjące się losu jej stryjecznej siostry, było wyższem natchnieniem jej anielskiego serca i że Bóg uświęcił je swoją łaską w samym zarodzie.

Od tego czasu upłynęło lat kilkanaście, ileż to nowych uczennic wplotło się w moje życie... Były pomiędzy niemi bardzo zdolne,

którymi szczyliłam się, były takie, nad którymi pracując lat kilka wychowałam i wykształciłam; te z uczennic stały się potem moimi przyjaciółkami; ale w pośród tego całego grona miłych mi i drogich, pamięć Reginki jest dla mnie zawsze najdroższém wspomnieniem, z którym nie rozstanę się nigdy.

Z babunią po wyjeździe z Rutek utrzymywałam piśmienne stosunki, nieraz w listach swoich donosiła mi, że jest zadowoloną z Zosi, że charakter jej wyrabia się bardzo pięknie i najlepsze na przyszłość rokuje nadzieje; ale ponieważ okoliczności przerzuciły mnie później w zupełnie inne strony, nie widziałam więcej pani N.

W dziesięć lat po śmierci Reginki doniesiono mi o skonie jej babki, która jednak za życia swego doczekała się jeszcze nagrody za swój dobry uczynek. Zosia wykształciła się pod jej kierunkiem na bardzo rozną i zanną kobietę, poszła za mąż za znanego z nauki i szlachetności doktora R. przecucia Reginki spełniły się w zupełności.

Babunia umierając zapisała jej w testamentie cały majątek i Zosia objęła Rutki w posiadanie.

Walerya Stucherska.

Objaśnienie wzorów do rysunku.

Nie zapomnieliście zapewne o prawidłach, wyłożonych poprzednio ¹⁾ i sprawdziliście wymiary różnych głów, ażeby się przekonać, że mają takie proporcye, jakieśmy oznaczyli. Wyjątek od tej reguły stanowić może tylko głowa starca, który stracił już włosy i zęby, albo głowa dziecka, które jeszcze ząbków nie ma. W takich dwóch wypadkach niższa część głowy nie będzie miała takiego stosunku do czoła i innych części. Jeżeli więc kto chce nadać rysowanej przez siebie twarzy wyraz zgrzybiałej starości, lub pierwszego dzieciństwa, nie może wskazanych proporcij zachować, bo te mogą się tylko stosować do

¹⁾ Tom I Wieczorów Rodzinnych str. 706.

dzieci starszych i ludzi niezbyt sędziwych.

Jeśli chcecie nabyć wprawy w rysowaniu głów, zabierzcie się pilnie do przerysowania podanych na wzorze uszów w rozmaitych położeniach. Pierwsze przedstawione jest w skróceniu, tak jak ucho mężczyzny z brodą, drugie z boku, trzecie nieco od tyłu, wreszcie czwarte widzicie w całości, tak jak bywa w twarzy, profilem do nas zwróconej; ucho to najdokładniej się przedstawia. Umieszczone jest w prostokącie, w podłużnym kwadraciku, a całe ucho rozdzielone tu na dziewięć części. Tym sposobem potrafiacie oznaczyć wszystkie proporcje i nauczyć się rysować uszy tak, jak należy. Ucho ma linie bardzo piękne i jest to wzór wyborny dla wprawy, szczególnie stosownego odznaczania światła i cieni. Dla braku miejsca, nie mogliśmy wam podać większych wzorów, ale możecie je powiększać stopniowo przerysowując.

Twarz człowieka w czapce futrzanej wskazuje najładniej, jakie jest znaczenie światła i cieniów w rysunku, bo rysy szczególnie po dokładnem zacięniowaniu stają się wyraźniejsze. Ta twarz nie jest przedstawiona ani w profilu, ani zupełnie wprost, ale ma położenie pośrednie, gdyż z lekka jest w bok zwrócona. Rysując twarz, trzeba bardzo uważać na najmniejszy szczegół, żeby zachować właściwe ożywienie rysów. Czasem najdrobniejsza różnica od wzoru zmieni zupełnie cały wyraz. Z początku można sobie robotę ułatwić, przeciągając leciutko linią przez środek twarzy. Mając już trochę wprawy, można także położenie głowy zastosować do bocznego brzegu papieru, który powinien przedstawiać linią pionową. Trzeba też dobrze uważać, czy wejrzenie twarzy, którą się rysuje, zwrócone jest do góry, czy w dół, czy w prawo lub lewo. Przed rozpoczęciem rysunku, należy przedmiot starannie obejrzeć, z zastanowieniem, ażeby go mieć niejako w myśli, wyobrazić go sobie dokładnie; nigdy to nie powinna być robota mechaniczna, wykonana z pośpiechem i bezmyślnie, byle tylko się jej pozbyć.

W pierwszej twarzy największe ma znaczenie czoło i trzeba je bardzo wyraźnie odznaczyć przy zetknięciu z czapką futrzaną,

której jest najciemniejszą częścią rysunku. Pomiędzy dwójgiem oczu powinna być pozostawiona przestrzeń jednego oka. Linie dolne nosa zupełnie powinny odpowiadać linii oczu, ażeby nozdrza miały właściwe położenie, a także i cień nosa nad ustami.

We wszystkich głowach można odnaleźć toż samo stopniowanie światła i cieni, któreśmy wyłożyli już dawniej na jajku: silne światło, półcień, cień całkowity i światło odbite.

Profil po prawej stronie przedstawia cesarza rzymskiego, Augusta Cezara. Jest to ten sam cesarz, o którym wspomina Ś-ty Łukasz, panował on w Rzymie w chwili Narodzenia Chrystusa Pana.

Ziarnka moralności.

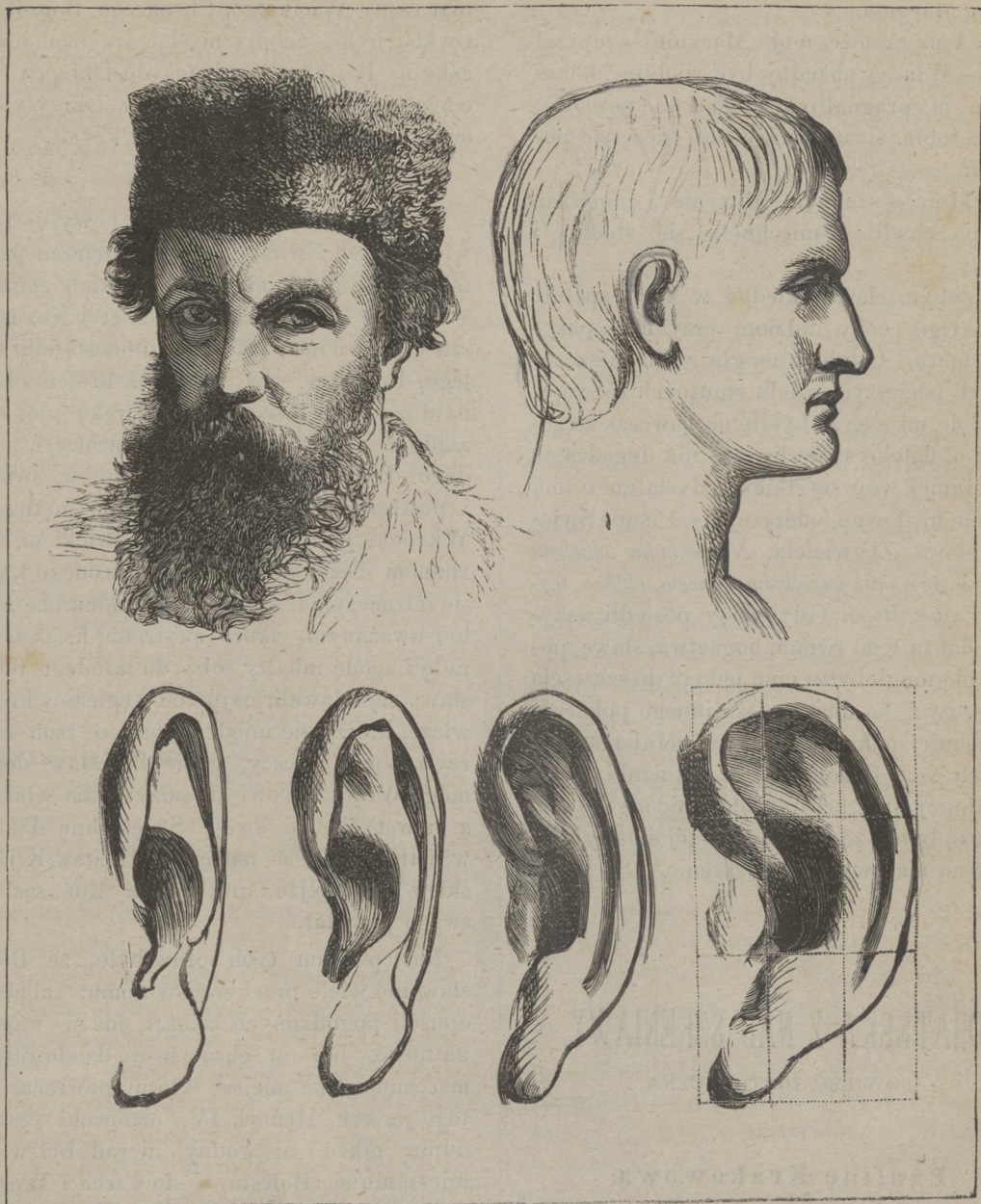
— Chciałbym być kiedyś takim wielkim, sławnym bohaterem, jak Juliusz Cezar, lub Aleksander Macedoński—mówił Władysław, składając książkę historyi starożytniej, z której lekcyją jutrzejszą odczytywał.—Co to za szczęście być musi wzbudzać we wszystkich ludziach taką obawę i takie uwielbienie.

— Ej, co by mi tam po tém przyszło—odezwał się młodszy brat jego, Józio—jabym wolał być bardzo bogatym, żebym mógł sobie zawsze dogadzać, kupić wszystko, co by mi się tylko podobało. Teraz, ile razy mi się czego zechce, mama zaraz powtarza: To bardzo drogie, nie jesteśmy bogaci. Nie, niema większego szczęścia, jak bogactwo.

— Zapewne—odrzekł Władysław—ale gdybym był takim wielkim wojownikiem, tobym sobie właśnie ogromne bogactwa zdobył na nieprzyjaciółach, bo zwyciężyłbym wszystkich i zawojował.

— A nie żałby ci było tych biednych zwyciężonych?—słowa te wymówiła z cicha starsza siostra obu chłopców, dobra i rozsądna Marynia.

— Ach, to tylko kobiety są takie litościwe; na wojnie to już taki zwyczaj, że zwy-



Wzory do rysunku.

ciężony musi ustąpić—powiedział Władysław.

— Już jabym wolał mieć bogactwa bez wojny i zwyciężania—rzekł Józio—doga-
dzałbym sobie spokojnie, nikomu krzywdy
nie wyrządzając.

— A czy mógłbyś spokojnie używać
swoich bogactw, wiedząc o tém, że jest na
świecie tylu ludzi, którym brakuje pierw-

szych potrzeb do życia?—odezwał się znowu
cichy głos Maryni. Józio nie nie odpowie-
dział.

— Ach, moja Maryniu—zawołał Wła-
dzio—najbogatszy człowiek nie potrafiłby
zaspokoić potrzeb wszystkich ubogich; i so-
bieby nie dogodził, i drugim nie nastarczył.

— Albożto szczęście na tém zależy, żeby

sobie we wszystkiem dogodzić?—rzekła łagodnie Marynia.

— A na czemże, moja Maryniu?—zapytał Józio—Władys chciałby być wielkim bohaterem, ja pragnąłbym bogactwa posiadać, czegoż tobie, siostrzyczko, do szczęścia potrzeba?

— Mnie?—szepnęła Marynia i zamyśliła się; po chwili uśmiechnęła się słodko i rzekła:

— Jabym chciała kiedyś w życiu spełnić coś takiego, coby ludziom przyniosło pożytek i dobro. Gdybym mogła wielu nieszczęśliwych pocieszyć, wielu smutnych rozвесelić, zdaje mi się, że byłabym wówczas szczęśliwa; o! daleko szczęśliwsza, niż dogadzając sobie samęj we wszystkiem. Myślałam o tém właśnie niedawno, odcytując w Piśmie Świętém słowa Zbawiciela: *Nie samym chlebem człowiek żyje, ale wszelkiem słowem, które wychodzi z ust Boga*. Gdybyśmy posiadli wszystkie dobra tego świata, bogactwa, sławę, potęgę, nie mogłoby to nam jednak do szczęścia wystarczyć, bo dusza nasza innego pokarmu potrzebuje; pokarmem jęj jest pełnienie słów Bożych, woli Bożęj, to jest pełnienie dobra.

Chłopcy spojrzeli po sobie; nie nie mówili, ale znać było, że słowa starszęj siostry głębokie na nich wywarły wrażenie.

BOHATERKA Z NAD SZRENIAWY.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

Paulinę Krakowową.

(*Dalszy ciąg*).

Bolko zaś, spełniając zrzęcznie i umiejętnie wskazówki ojcowskie w rządach, zadziwiał rodziców bystrością sądu i wymową, na polu bitwy odznaczał się niezwykłą, prawie szaloną odwagą, dla ludu hojnym był nadzwyczaj, a kmieci, czyli wolnych rolników, sam wysoko cenił i nawzajem ich sobie ujmował. Jeżeli zaś kiedy zdarzyło się mó-

wić o przyszłości, to zawsze Bolesław uwielbiał rządy Wielkiego, Chrobrego Bolesława i widać było, że przemyslał trzymać jedną rękę na Bałtyku, a drugą do Dniepru wyciągać i słuchając go, młodym iskrzyły się oczy, a starzy siwemi głowami kiwali.

Długie lata minęły od chwil powyżęj opowiedzianych i wiele ważnych zdarzeń przetoczyło się po ziemi, wiele wielkich zmian i w naszym kraju zaszło. Po śmierci Kazimierza Odnowiciela, 1058 r. siedmnastoletni syn jego, Bolesław, bez sprzeczek królem obrany został i świadomą już ręką ujął ster rządów. Świetnie odbyła się koronacja młodego króla, bo samych biskupów swoich i postronnych towarzyszyło jęj piętnastu. Wkrótce potem, chociaż nie wiekiem, ale znanem mężstwem i potęgą rządzonego kraju się odznaczył i za wielkiego monarchę znać był uważany, skoro postronni książęta na radę i zgodę między sobą do młodego Bolesława się udawali; najprzód węgierscy królewicze, którzy się między sobą o tron swarzyli, potem czescy, gdzie Bolesław dopomógł Wratysławowi do odzyskania władzy, a nawet siostrę swoją Świętochnę dał mu w małżeństwo, a następnie Izasław Kijowski w podobnejże sprawie na Ruś sąsiada swego powołał.

Następstwem tych spraw było, że Bolesław nie wiele przebywał w domu; zaledwie opuścił pogodzonych książąt, już się waśnili na nowo, już on chcąc swoje dzieło utrzymać, musiał na miejsce kłótni powracać; do tego jeszcze Henryk IV, niemiecki cesarz, dumny także i niezgodny, nierad był wcale mieszanu się Bolesława do Czech i Węgier i nie tylko, że mu wszędzie stawiał zawady, ale nawet, gdy tenże na Rusi przebywał, pomimo operu wojska zagarnął mu Pomorze.

Bolesław jednak chętnie się mieszał w sprawy Izasława, przeciwko jego braciom i krewnym, lubił mieszkac na Rusi w jęj bogactych miastach, to w Łucku, to w Przemyśle, powracając do swego kraju jedynie dla naprawy tego, co podług doniesień zostawionych zastępców, coraz się psuło. Nie lubił od młodości ulegać, teraz choć prawa to na-

kazywały, nie lubił słuchać przedstawień rady państwa, niechętnym wzrokiem poglądał na szlachtę i prawie rad był, że się dla niej ciężkie gotowały czasy, bo się spodziewał, że ją to upokorzy i tym sposobem on sam będzie swobodniejszy.

W początkach jedenastego wieku najniższą w Polsce klasę ludności stanowili *niewolnicy*, z jeńców wojennych pochodzący, którym wolno było dosługiwać się przejścia do klas wyższych. Po tych następowali *kmieciowie* czyli rolnicy, najlichniesza klasa ludzi, mieszkająca wolno na ziemiach królewskich i duchownych. Oni stanowili straż grodów i zamków, jeżeli zaś pieszo wojenną służbę odprawiali, nabywali pewnych swobód i przywilejów, wywyższających ich nad innych i zbliżających nieco do szlachty, na którą właśnie już za Bolesława Szczodrego niechętnym patrzali okiem i chcieli się z pod jej ucisku wyłamać.

Szlachta zaś sama tylko odbywała służbę wojenną konną; oni najczynniejsi byli w obronie kraju, wybór najznakomitszy stanowił otoczenie króla. Z nich wybierano kasztelanów, czyli dowódców zamków, starostów, sądujących sprawy po grodach, wojewodów, przewodniczących wojsku i t. p.; wszyscy opłacali podatki z łanów, czyli pól i wszyscy winni byli ulegać urzędowi po miastach ustanowionym.

Może się czytelnikom moim zdaje, że wszystko to, o czém się tu wspomina, niepotrzebną jest gadaniną, ale każdy malarz, czy rysownik ma swoje upodobanie; jeden narysuje lub namaluje obrazek na białym, czystym papierze, i dobrze jest, pięknie, i jemu i patrzącym się podoba, inny zaś potrzebuje nie tylko to nakreślić, co sobie przedsięwziął, ale swój przedmiot jeszcze otacza wszystkiém, co koło niego znajdować się mogło i to się nazywa tło, i na wasze zmartwienie ja czasem wolę tło od obrazu.

Lata *chłite* w wszelkiego rodzaju przygody przepłynęły po naszej ziemi, od czasu jak całą rodzinę z Brzezia przeprowadzaliśmy w wycieczkę do Krakowa, gdy przypominawszy się królowi Kazimierzowi, Pietrasz przedstawił mu syna swojego Jaska i już chłopaka nie zabrał z sobą do domu, bo go

sobie upodobał królewicz Bolko i naparł się, by przy nim pozostał. Rzewne wprawdzie było pożegnanie rodziny, lecz uspokoił się wkrótce żal, gdy niebawem po zgonie ojca książę w króla się przemienił, a młodzieniec stał się jego ulubieńcem.

W Brzeziu, we dworze, pociechę rodziców była zawsze Małgosia; a choć jej później młodsza przybyła siostrzyczka, którą jeśli nie hodować, to pieścić matce pomagała, przecież jak ojciec i dziad Benko potrząsali nieraz głową na jej rozumne odpowiedzi, jak matka z czułością poglądała na jej postawę pełną wdzięku i charakter stały a łagodny, tak starzejąca się Rzepka wszystkie wiadomości, wszystkie u Rusinek podpatrzone tajemnice, obracała na podniesienie piękności i uroku swojej wychowanki.

Czyli po części te starania, umywanie twarzy rosą poranną, kąpiele z ziół wonnych, namaszczenie pięknych i długich włosów i umiejętnie ich splatanie taki wywarły skutek, czy i bez tych zabiegów tak być miało, niewiadomo, dość że dziewczeczka wyrosła pięknie nad podziw i z dzieciństwa wyszedłszy, wszystkie oczy i serca pociągała za sobą.

Pani Hanna raz przynajmniej na rok jeździła do Krakowa; szło jej o przypomnienie się królowej matce, która od owdowienia swego nie opuszczała dworca na Wawelu, a dla której od młodości Brzezińska pani wielką w sercu wdzięczność przechowywała; szło także o odwiedzenie młodej królowej Wisławy pełnej słodyczy i niesmialości, a mało szczęśliwej na krakowskim tronie, gdzie bardzo rzadko z nią razem król Bolesław zasiadał. Wszystkie pocziwe serca lgnęły do tej smutnej lilijki, w białe rąbki uwitę, bo znaną była świętość obyczajów, ciche poświęcenie dla obowiązku, gorąca jej miłość dla małego Mieszka, jedyne go syna i dziedzica polskiego tronu i wiecznie pogodny uśmiech, z jakim witała zawsze królewskiego małżonka, nie pytając z kąd wracał, ani czemu bawił tak długo.

Bliższém jednak serdecznym Hanny widokom było, w tych do stolicy wycieczkach, dowiedzenie się dokładne o pobycie lub zamiarach króla Bolesława, któremu jej Jasko wszędzie teraz towarzyszył, a później poka-

zanie podrastającej Małgosi na dworze i polecenie jęj życzliwym względem obu królowych, które i w owych już czasach każdy sobie cenił wysoko.

Podczas jednej z takich wycieczek trafiło się, że rzadko teraz w kraju przebywający monarcha powrócił z czeskiej wyprawy, bo lubo ulubioną siostrę swoją Świętochnę wydał za czeskiego króla Wratysława, nie miał w nim przyjaciela, ani pomocnika, gdyż ten, jako sprzymierzeniec niemieckiego cesarza, sprawy jego bronić musiał. Wróciło z królem towarzyszące mu rycerstwo, a między nimi znajomi nam syn i ojciec Brzezieńscy, i wszystkich spojrzenia zwróciły się z podziwem na młodziutką Małgorzatę. Wśród wojowników różnego wieku i twarzy odznaczał się dzielnością postawy, szlachetnością rysów i zarazem dziwnie złączonym wyrazem powagi i łagodności w obliczu, dojrzały już mąż i rycerz zasłużony, Mikołaj Strzemieńczyk, pan na Zembocinie, który oczu z młodej dziewicy nie spuszczał. Sam król, lubo tyle pięknych Niemek i Czeszek niedawno widział, a w częstych wyprawach podziwiał białe lica Rusinek i czarne ogniste oczy Węgierek, którego żona posiadała wdzięk i urok anielski, sam król pytał z kąd taka piękność na dworze jego wykwitła i dziwił się niepomąlu, gdy mu powiedziano, że to znajoma mu od dzieciństwa Małgosia z Brzezia, siostra najbliższego mu dziś Jaska.

Wkrótce po przedstawieniu i powitaniu na dworze, król rozpuścił rycerstwo swoje, dając mu bardzo krótkie roki, bo wnet po obejrzeniu się i utwierdzeniu ładu w kraju, wybierał się na daleką i długą wyprawę i wszystkich rycerzy na nią powoływał. Każdy więc korzystał z chwili, by dom i rodzinę odwiedzić; pani Hanna z córką chciała wyprzedzić męża i syna, by im w domu staranniejsze przygotować przyjęcie, lecz kiedy stanąwszy u przewozu obejrzała się za siebie, spostrzegła dościgających prawie jęj wozu męża i syna na spienionych koniach, a z nimi trzeciego jeszcze rycerza, którym, jak się wnet u promu pokazało, był Mikołaj Strzemieńczyk.

Nie chcąc tracić ani chwili obecności ukochanego męża i ojca, Hanna i Małgorzata

uprosiły go, by oddawszy pacholcowi konia siadł z niemi na wóz na czas przewozu, a gdy ten się na to zgodził, towarzyszący im rycerz skoczył w wodę na swoim rumaku i w pewnym oddaleniu płynął obok promu, patrząc w milczeniu na całą rodzinę. Jaskowi podobała się ta fantazyja, skoczył także w Wisłę i po drugiej stronie promu płynął, jak drugi strażnik swoich ukochanych, zbliżając się często i mieszając do rozmowy.

Gościnnie w Brzeziu przyjęty pan na Zembocinie, tłumacząc swoją skwapliwość krótkim terminem przez króla oznaczonym, w tydzień po przybyciu prosił Pietrasza o rękę jęj córki. Ojciec odłożył odpowiedź do narady z żoną, a lubo pani Hanna nie myślała jeszcze była o rozstaniu się z córką, zaledwie ośmnasty rok zaczynającą, rozważywszy trudne położenie kobiet, zostających w kraju po wyjeździe rycerstwa prawie o własnej sile, zważywszy stanowisko i zasługę Mikołaja Strzemieńczyka, zasięgnąwszy zdaleka zdania córki, którą uprzejmość i szlachetność rycerza ujęła, zgodzili się państwo z Brzezia na przyjęcie go za zięcia.

Nie było jeszcze w owych czasach mody na wyprawy; w zamożnym domu Pietrasza znalazło się dość zapasów, by się niemi z córką, na gospodarstwo nowe się wybierającą, podzielić; Hanna więc z pomocą wiernej Rzepki i jęj podwładnych, wkrótce wygotowała szat, chust i naczyńia tyle, że na dwa wozy ledwie się to pomieścić mogło. Panowie tymczasem jeździli kilka razy do Krakowa. Trzeba było opowiedzieć się dworowi, nie tyle dla króla, który sam urządzając swoje sprawy podług własnego widzimisie, nie mieszał się dotąd w rodzinne układy swego rycerstwa, ile dla królowych, tak szczerze i serdecznie rodzinie Brzezińskiej życzliwych. Prócz tego, Mikołaj Strzemieńczyk nie mógł zapomnieć, że w dziedzicznym jęj Zembocinie przed laty był proboszczem teraz powszechnie szanowany, poważny biskup krakowski, Stanko, czyli Stanisław Szczepanowski, że on sam, młody wówczas chłopak, młodemu proboszczowi do Mszy Ś-tęj służywał. Zawiązany naówczas życzliwy stosunek trwał dotąd, pomimo różnicy zawodów jakie sobie obaj mężowie obrali; chciał się

więc rycerz dowiedzieć, czy przybywając w właściwej porze do Krakowa, nie mógłby sobie uprosić, by czcigodny sługa boży błogosławił jego przysięgę na nowe zupełnie życie.

Parę razy nie zastał biskupa; objeżdżał właśnie swoją diecezyą, jak zwykł to być czynić, zachęcając do pobożności, do pracy, do miłości chrześcijańskiej, wspierając sieroty i wdowy. Nakoniec, gdy na bytność świętego męża w kościele natrafił Mikołaj, przyrzekł mu biskup tak swój objazd diecezyi pokierować, by w dniu właściwym znaleźć się na miejscu i kapłańskiem błogosławieństwem połączyć dwie bogobojne i znane sobie rodziny.

— Stolica i dwór nasz terażniejszy nie jest to miejsce właściwe na rozpoczęcie nowego i cnotliwego żywota; lepiej, że z pod dachu rodzicielskiego pod swój własny prosto się udacie—rzekł świątobliwy kapłan.

I stało się podług jego wskazania; w kościele Tynieckiego opactwa, jako w połowie drogi między Krakowem a Brzeziem, w dniu na to przeznaczonym zebrała się najbliższa rodzina panny młodej i drużyna pana młodego. Przed ołtarzem, w biskupich szatach, z infułą na głowie, stanął czczony już w całym kraju, choć nie sędziwy jeszcze, Stanisław, biskup krakowski; odprawiał Mszę Świętą, otoczony licznym gronem zakonników, duch jego czystą i gorącą pobożnością zagrany zdawał się unosić go ku niebu, a całą postać otaczał blask jakiś niepojęty, czy to świątobliwego życia, czy czekającej go w niedługim czasie śmierci męczeńskiej. Przewielebny Opat tyniecki o wiele od pobożnego męża bogatszy i możniejszy, chętnie przyłączył się do orszaku, trzymając jako pokorny zakonnik pastorał biskupi w czasie nabożeństwa.

Przez cały czas Mszy, z wyjątkiem czytania Ewangelii Ś-tój, wszyscy obecni modlili się na kolanach, lecz gdy z otwartej księgi poczęło się czytanie: „Dobrej nowiny,“ podnieśli się rycerze i każdy dobył do połowy broni, na znak, że gotów bronić świętej swojej wiary, choć naówczas koniecznej tego potrzeby nie było; bo u nas z dawna i w długie czasy zwyczajem było piękne szanować

pamiętki, a pierwsi w Polsce chrześcijanie, zbierając się na nabożeństwa, musieli być zbrojni, by skutecznie odpierać napady niechętnych pogan.

Pannę młodą całą w bieli, cienkim rąbkiem owiniętą, z rozmarynowym wiankiem na blad złotych włosach, otaczało grono domowych dziewcząt, równie białe odzianych, bo nasze kobiety zawsze się w bieli kochały; krewna, Krysta z Brożycy i Halszka, dorastająca siostrzyczka, w rucianych wieniecach, jako dwie druchny, stały Małgosi przy boku. Lubo za panem Mikołajem stała pokaźna drużyna, z dzielnych rycerzy złożona, dwoma drużbami byli mu młody Jaśko z Brzezia i sędziwy Benko z Grądów, bo ten, chociaż przez liczną rodzinę czczony i kochany, jak patryarcha, w zawdzięczeniu miłości i życzliwości jaką miał dla niej, zawsze zajęty sprawami kraju i domu, nie miał czasu myśleć o sobie i do późnej starości beżennym pozostał.

Po modlitwie i błogosławieństwie w kościele, po czułym podziękowaniu w zakrytych, nastąpiły uprzejme zaprosiny do Brzezia; biskup chętnie nawiedzał niedole wszelkiego rodzaju, pocieszał i wspierał strapionych, ale w wesółych ucztach nigdy nie brał udziału. Opat i zakonnicy mieli obowiązek uczenia świątobliwego gościa, będącego w ich ścianach, weselne grono zaś jak przybyło, tak i podążyło samo ku domowi, gdzie je gościnne czekało przyjęcie, a za dni parę liczne jeszcze grono życzliwych odprowadzało nowozaślubionych, ci bliżej, ci dalej, jak im własne pozwalały sprawy na drodze do Zembocina, gdzie już sami, w otoczeniu tylko domowników przybyli.

(d. c. n.)

LISTY Z WARSZAWY.

Kazło do Maryni.

20 Stycznia 1881 r.

Kochana siostrzyczko! Tyle tu jest ciekawych rzeczy do widzenia w Warszawie, że

znalazłoby się o czém pisać, nietylko co miesiąc, ale i co tydzień, byle czasu i papieru starczyło. Dziś opowiem o przesłicznych obrazach, które oglądałem na wystawie. Dwóch sławnych naszych malarzy, Matejkę i Siemiradzkiego, znasz z *Wieczorów Rodziny*; żaden z nich teraz nie nadesłał nic nowego do Warszawy, a jednak tyle jest pięknych obrazów na wystawie. Możesz ztąd brać miarę, ilu to my mamy jeszcze znakomitych malarzy, oprócz tych dwóch najznakomitszych. Oto i teraz wslawił się młody artysta, o którym parę miesięcy temu nikt nie wiedział, a dziś nazwisko jego jest na wszystkich ustach. I ja też słyszałem je powtarzane ustawicznie, bo każdy prawie z gości, przychodzących do wujaszka i cioci, musiał w ciągu rozmowy zapytać: - Czy widzieliście już państwo obraz Krudowskiego? jakże się państwu podobał?—A wszyscy, co go widzieli, mówili o tym obrazie z wielkimi pochwałami, aż mię w końcu ciekawość zdjęła i zacząłem się o niego rozpytywać. Ciocia kochana, zamiast odpowiedzi, zaproponowała, żebym z nią poszedł na wystawę i własnemi oczyma obejrzał obraz, który tyle wywołał rozgłosu i taką sławę zjednał młodemu malarzowi.

Możesz sobie wyobrazić, jak chętnie się na to zgodziłem. Poszliśmy tedy w niedzielę, bo w dni powszednie żaden porządny uczeń o rozrywkach myśleć nie ma czasu. Ach, jakże to piękna ta wystawa! Chciałbym ci opisać, siostrzyczko kochana, wszystko, co tam widziałem, ale to niepodobna, bo nie skończyłbym i do jutra, a tu jeszcze lekeji wyuczyć się trzeba. Wspomnę więc tylko o tych obrazach, które mię najwięcej uderzyły i zajęły, a najpierw o przesłicznym obrazie Krudowskiego. Nie dziwię się wcale, że tyle o nim mówiono. W pierwszej chwili, patrząc nań, doznałem takiego wrażenia, jak gdyby to nie było malowidło, jak gdyby te postaci stały rzeczywiście przedemną, prawdziwe, żyjące. Obraz przedstawia powrót z Golgoty, po zdjęciu z krzyża ciała Chrystusa. Śty Jan Ewangelista sprowadza ze spadzistości góry Matkę Boską, za nimi schodzi Śta Marya Magdalena i inne święte niewiasty. Śty Jan, cały zapatrzonny w Ma-

tkę Bożą, której ma być odtąd opiekunem, jest tak piękny, że oczu od niego oderwać nie można. Na twarzy jego rozlany jest wyraz głębokiego smutku i zarazem jasność jakaś dziwna ją rozpromienia. Oblicze Matki Boskiej łączy w sobie niewymowne cierpienie i spokój nadziemski. Śta Magdalena ma głowę ukrytą w dłoniach, nie widać więc wcale jej rysów, a jednak cała ta postać nieco pochylona, jakby przytłoczona ciężarem smutku, ruch podniesionych ramion i rąk splecionych na twarzy, wszystko to jest tak pełne wyrazu, że patrząc na nią, czuje się cały ogrom jej boleści. Niżej, w głębi, widać kilku ludzi, niosących martwe ciało Zbawiciela. Niebo jest ciemne, ponure, a jednak wśród tego tła migają jakieś jaskrawe błyski, jakby zapowiedź groźnych zjawisk przyrody.

Patrząc na ten wspaniały obraz, zrozumiałem lepiej to, cośmy niedawno czytali w *Wieczorach Rodziny* o sztukach pięknych i o ideale, który artysta tworzy w swojej wyobraźni. Te święte postaci wyglądają jak żywe, a jednak piękniejsze są, doskonalsze od ludzi zwyczajnych; my nigdzie podobnych nie spotykamy i tylko możemy sobie wyobrazić, że tak w rzeczy samej mogła wyglądać Matka Boża i Święci Pańscy, bo w tych obliczach jest blask jakiś nadziemski.

Otóż się rozписаłem o tym jednym obrazie, a przecież obiecałem wspomnieć i o innych, a tu już tak niewiele miejsca mi zostało, nie traćmy więc czasu. Przeszedłszy wzdłuż całą galeryą, znów nieco dłużej zatrzymałem się w samej głębi, przed wielkiem malowidłem Wojciecha Gersona, które wyobraża młodzieńką królową Jadwigę w chwili, gdy siekierą próbuje rozbić bramę zamku, gdzie ją starszyzna trzymała, jakby w niewoli. A w tém staje przed nią sędziwy Dymitr z Goraju, przemawia w imię obowiązku i miłości kraju, i siekiera osuwa się z rąk królowej, w smutnych, rozżalonych jej oczach widać, że potrafi ona się przezwyciężyć i zgodzić z wolą Bożą i wolą narodu.

Cała ta scena, tak dobrze znana wszystkim z historii, żywo mi stanęła w myśli, gdy

się w ten piękny obraz wpatrywał i czułem w duszy wielką cześć i uwielbienie dla tej pięknej, dobrej, szlachetnej królowej Jadwigi. Jak też to słusznie wujaszek powiedział, że malarz historyczny wskrzesza przeszłość swojego narodu. Niezliczone mnóstwo obrazów większych i mniejszych migало mi przed oczyma na obu ścianach długiej sali, nie mogłem się napatrzyć na te śliczności, ale trzeba było powracać na obiad do domu. Przechodząc przez mniejszą salkę, prowadzącą na wschody, spostrzegłem, że wszyscy zatrzymywali się przed jednym obrazem, umieszczonym w głębi, tak że wcale uwagi mojej nie zwrócił, gdyśmy na wystawę wchodzili. Nie nowe to, a zawsze piękne—mówił jakiś pan, stojący przed tym obrazem.—Ale dla ciebie, Kaziu, to będzie nowe—rzekła ciocia—bo ty pierwszy raz zwiedzasz wystawę. Przypatrzyć się dobrze, bo to bardzo piękny obraz, to Zygmunt i Barbara, Józefa Simmlera. Był to jeden z najznakomitszych naszych malarzy, który na nieszczęście umarł przedwcześnie.

Gdybyś ty zobaczyła ten obraz, droga Maryniu, z pewnościąbyś się rozplakała. Król Zygmunt August siedzi na brzegu łoża, na którym spoczywają martwe już zwłoki Barbary. Nie potrafię ci opowiedzieć, jaki żal głęboki, jak ciężki smutek wyryty jest w jego twarzy, w wyrazie oczu i całej postaci. Patrząc na niego, serce mi się mimowoli ścisnęło, a gdym sobie przypominał, że to nie jest przecież prawdziwy smutek, tylko mało-widło, zamyśliłem się znowu nad tą szczególną władzą wielkich artystów. Wszak to oni umieją poruszyć w naszej duszy najrozmaitsze uczucia, umieją wzbudzić w nas smutek, trwogę, zapał, uwielbienie, co tylko zechcą. Jeżeli obraz jest pięknie wykonany, sprawia nam takie złudzenie, jak gdybyśmy widzieli przed sobą osoby żywe, rzeczywiście działające i czujące.

Zacząłem rozpytywać ciocię o Simmlera, ciekawy byłem, czy ten znakomity malarz zostawił jeszcze inne jakie obrazy; ciocia powiedziała mi na to, że wizerunek Simmlera z życiorysem wkrótce będzie zamieszczony w *Wieczorach Rodzinnych*, więc się dowiem o wszystkiem. Korci mię strasznie, żeby ci,

siostrzyczko droga, powiedzieć coś jeszcze o innych obrazach, a nie jeden na to zasługuje, ale muszę to na drugi raz zostawić, bo i tak list mój zajął całą ćwiartkę papieru. Bywaj więc zdrowa!

Twój przywiązany brat
Kazio.

Łamigłówka zgłoskowa. (M. B.)

Z 14 zgłosek następujących: a—chał—cho—di—gi—ka—ła—mi—nam—o—rej—sa—u—wnik—ulożyć 7 wyrazów, jak następuje: 1) Nazwisko sławnego rodu władców wschodnich. 2) Owad zjadliwy. 3) Imię. 4) Narzędzie zmysłu. 5) Dawny urzędnik w Polsce. 6) Urzędnik turecki. 7) Kraj w Azji. Pierwsze litery, odczytane z góry na dół, utworzą nazwisko sławnego muzyka kompozytora polskiego, ostatnie zaś od dołu do góry, jego imię.

Kwadrat magiczny.

Wypełnić kwadrat liczbami, nieprzechodzącami 25-ciu, nie powtarzając liczb i w taki sposób, ażeby po dodaniu szeregów, czy to pionowych, czy poziomych, czy też ukośnych, suma wypadła wszędzie=65.

10	12	8	17	18
14	19	20	11	1
2	9			13
15	3	25		4
24	5	7	6	23

Rozwiązania do N-ru 2.

Łamigłówki głoskowej:

Mir—Wir—Lir—Kir.

Łamigłówki w kwadraciku.

N	I	D	A
I	K	A	R
D	A	M	A
A	R	A	K

Tajemniczej głoski.

Klin — Maska — Burka — Krok — Kosa —
Marka — Kara — Sakwa — Ryksa — Stok —
Krata — Rybak.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryni Kn. Zadanie konikowe i wszystkie inne łamigłówki trafnie są odgadnięte. Cieszymy się bardzo, że na-

sze Wieczory są *kochane*; dla nas znów kochani są wszyscy czytelnicy, a zwłaszcza korespondenci, którzy takie uprzejme i staranne pisują liściki. Co do *Historyi powszechnej* proszę odczytać odpowiedź daną panu T. K. w Nrze 3-cim Pisma na zapytanie podobne.

Helence G. Liścik ładną kaligrafią napisany, bez żadnej omyłki, wielką nam sprawił przyjemność. Miła nasza korespondentka musi być nowo przybyłą prenumeratorką, kiedy mogła przypuszczać, że liścik jej nie będzie odczytany lub że odpowiedzi nie otrzyma; nigdy się jeszcze nie podobnego nie przytrafiło u nas; czasem tylko opóźnić się musimy trochę z odpowiedzią dla braku miejsca, lub dla tego, iż Pisemko wcześniej do druku się oddaje, aby czytelnicy w porę każdy Nr. odebrali. Łamigłówki trafnie są odgadnięte, a szarada ułożona przez braciszka, z małą zmianą będzie wydrukowana. Czekamy zapowiedzianego liściku od niego.

Helci H. Otrzymaliśmy łamigłówkę kryształową i chętnie ją wydrukujemy. Szkoda tylko, że nie było przy niej ani słówka dla nas.

Janince Kr. Zagadki wszystkie trafnie odgadnięte. Bardzo to nas cieszy, że kochani nasi czytelnicy umieją ocenić trudy, które dla ich pożytku i przyjemności podejmujemy. Staramy się, aby nasze *Wieczory* coraz więcej zajmujących rzeczy zawierały i zawsze równie niecierpliwie były oczekiwane.

Władysiovi N. Wszystkie nadesłane zagadki są bardzo dowcipne i będą zamieszczone w naszym Piśmie.

Rs. 10, otrzymane od M. C. i Z. C. na pomnik Hoffmannowej, oddaliśmy niezwłocznie do Redakcyi Kuryera Warszawskiego. Upomnieliśmy się o to, aby ofiara ta była wymieniona w tym Piśmie, jeśli to nie nastąpiło dotąd.

Treść.—Dobra córka, opowiadanie z dziejów wynalazków, (z drzeworytem), przez M. J. Z.—Kaziowi w dzień imienin, (wierszyk), przez Wincentego Pola.—Z teki nauczycielki, przez Waleryą Stacherską, (dokończenie).—Objaśnienie wzorów do rysunku, (z drzeworytem).—Ziarnka moralności.—Bohaterka z nad Szreniawy, powieść historyczna, przez Paulinę Krakowową, (dalszy ciąg).—Listy z Warszawy.—Łamigłówki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.—W dodatku Tajemnica Starego Dworu (powieść).

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½ *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27½ w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki. W Łwowie u Gubrynowicza i Schmidta *Rocz.* 7 złr. 20 cent. *Kwart.* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 złr. 80 cent. *Kwart.* 2 złr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 złr. 60 cent. *Kwart.* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 złr. *Kwart.* 2 złr.

Biuro Redakcyi: Ulica Ś-to Krzyżka Nr. 14.

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Января 1881 года.—Redaktorka i Wydawczyni **Ludwika Hauke.**

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.